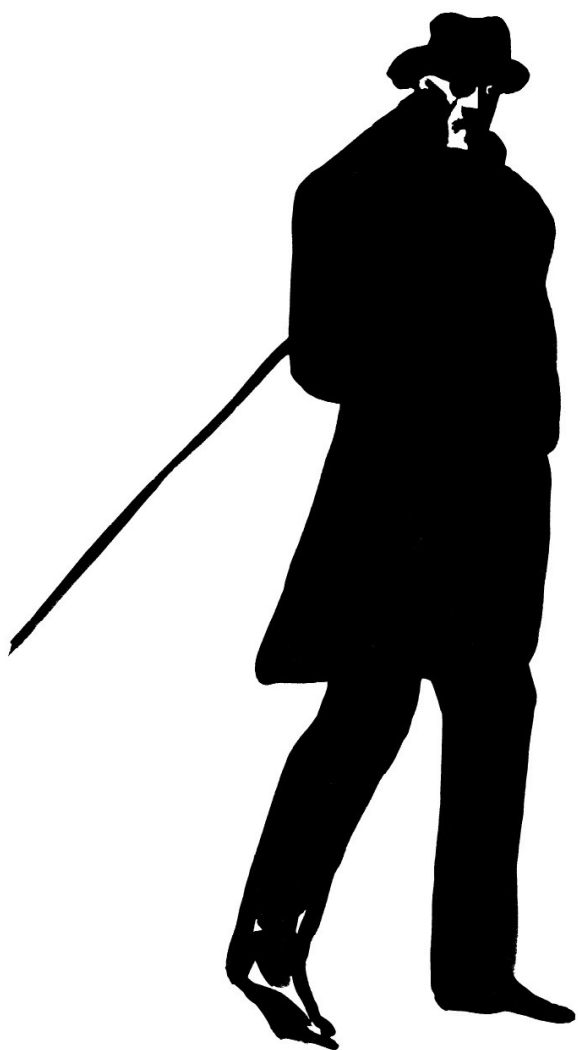




ALFRED

HAYES

Zakochany

Tłumaczyła
Anna Arno

Wydawnictwo Próby

In Love

Copyright © 1953, Alfred Hayes

All rights reserved

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Próby

Copyright © for the translation by Anna Arno

Warszawa 2021

ISBN 978-83-959036-7-0

*Miłość drzwi mi otworzyła; lecz dusza nieśmiała
Cofa się, pełna winy.
Miłość więc, bystrooka, gdy tylko ujrzała,
Że zwlekam bez przyczyny,
Podchodzi do mnie bliżej i pyta grzesznego,
Czy mi brakuje czego.*

George Herbert, *Miłość (III)*

TŁUM. STANISŁAW BARAŃCZAK

To właśnie ja, powiedział do ładnej dziewczyny w hotelowym barze mężczyzna pod czterdziestkę, z pewną pozycją, jakimś groszem na koncie, dobrym adresem, łatwym do wyszukania numerem telefonu. Typowy dla mnie wyraz twarzy. Moja dłoń na stole jest prawdziwa, cały jestem w miarę prawdziwy, póki nie przyjrzeć się bliżej.

Czy wyglądam na człowieka, powiedział mężczyzna w hotelowym barze o trzeciej po południu do ładnej dziewczyny, no czy wyglądam na człowieka, który nie wie, co ze sobą zrobić, co mu dolega, albo w głębi duszy uważa, że w jego życiu coś się skończyło?

Zakładam, że na takiego nie wyglądam.

Zakładam, że w lustrze czy w spojrzeniu, które spotka się z moim, powiedzmy, w takie popołudnie jak dziś, w tym hotelu, w tym barze, przy tym stoliku, wyglądam na faceta, który wie, co ze sobą zrobić, spokojny, pewny siebie i swego, wie, czego się spodziewać, chociaż nawet gdyby pani nalegała, nie potrafiłbym opisać, czego mianowicie.

Ale cel istnieje. Na pewno. Musimy udawać, utrzymywać pozory, że dokądś zmierzamy, jesteśmy przejęci umówionym spotkaniem, wyglądamy na kogoś, kto ma dokąd pójść. Nawet teraz, kiedy sobie siedzimy i pijemy daiquiri, grube dywany przyjemnie wyciszają kroki, a popołudnie chyli się ku zachodowi. Nawet teraz musimy udawać, że na mnie i na panią gdzieś ktoś czeka i że ten, kto tak niecierpliwie nas wygląda, to jakaś ważna osoba? Mimo że w gruncie rzeczy wszystkie nasze cele są trochę naciągane, na nic nie jesteśmy

umówieni, nie ma żadnego miejsca, gdzie naprawdę mamy się stawić, gdzie ktoś oczekuje naszej obecności? Przecież nikt na nas nie czeka. Absolutnie nikt, i być może nigdy nie czekał, nawet na początku, dawno temu, kiedy żyliśmy jeszcze szybciej niż teraz i mieliśmy w sobie coś, co pozwalało choćby na chwilę zaufać losowi. Byliśmy młodszy, w każdym razie ja. Pani oczywiście jest jeszcze stosunkowo młoda; ile pani właściwie ma lat, dwadzieścia cztery, pięć? Musi istnieć cel, choćby ze względu na to, z jaką żarliwością zaczynamy w młodości.

A więc teraz, dobijając do czterdziestki, mówię sobie, że może nie ma i nigdy nie było dla nas miejsca. Może to nie jest rozczarowanie, tylko przeciwieństwo złudzeń, może należy uznać to za postęp, chociaż pewnie nie, więc żyjemy z tym trudnym do opisanego poczuciem nieodwracalnej straty, poczuciem, że gdzieś się pomyliliśmy, popełniliśmy błąd nie do naprawienia, że zrobiliśmy jakiś gest, którego nie da się już wycofać.

Ale pani jest ładna. I dochodzi czwarta. Drinki na stole. I w tym lustrze to chyba odbijamy się my. Kelner przyjdzie, kiedy go zawołamy, zegar tyka, rachunek zostanie uregulowany, miasto będzie dalej istniało.

Czy w gruncie rzeczy nie na tym nam zależy? Wszystko na swoim miejscu, wrażenie ładu, naprawdę albo pozornie jest nam dobrze, popołudnie, w którym najwyraźniej coś się wydarza.

Żadnych wstrząsów, nic doniosłego, pewna przyjemność bez pewnego poczucia winy.

Poczucie winy przychodzi później, prawda? Wina jest niżej w karcie dań. Dopiero po opłaceniu rachunku, po napiwku coś jeszcze zostaje, niewliczone, i tu dochodzimy do winy, prawda?

Ale w sumie to dziwne, powiedział mężczyzna do ładnej dziewczyny, że dobrze śpiam, nie straciłem apetytu, a mimo to zawsze wyglądam, jakbym był zmęczony. Nie wiadomo, dlaczego bolą mnie plecy, w tym miejscu, gdzie mięśnie są jakby dziwnie

zbite, bolą mnie oczy (choć raz rzadko teraz czytam i prawie nie chodzę do kina). W ustach osiadł szorstki, suchy smak.

Dlaczego?, powiedział mężczyzna, bo obiecał, że jej opowie. Powiedział to z dziwną powściągliwością, patrząc na ładną dziewczynę, która miała wszelkie zalety wynikające z tego, że nie ma się jeszcze czterdziestki, a także wszystkie wynikające z tego mankamenty. Dlaczego mam się tak czuć? Co takiego straciłem, co byłoby nie do odzyskania? Co zrobiłem, powiedział, żeby być tak nieszczęśliwym, a przy tym nie mieć przekonania, że to nieszczęście, które przenika mnie jak powietrze, jest rzeczywiste albo uzasadnione?

A może, powiedział mężczyzna do ładnej dziewczyny, marszcząc przy tym brwi, właśnie to jest ze mną nie w porządku, o ile coś jest; nie wiem już, co rzeczy znaczą; nie umiem ich rozpoznać. Jakbym zdrewniał. Oto one, przedmioty, które składają się na mój świat, i oto ja, niezdolny je nazwać – ornitolog, dla którego wszystkie ptaki mają jednakowe pióra, ogrodnik, któremu wszystkie kwiaty wydają się takie same. Niech pani powie szczerze, czy to jest moja ułomność, o ile to jest ułomność? Moja choroba, jeśli to jest choroba?

Tak, powiedział mężczyzna. Często się zastanawiałem, dlaczego wydaję się ludziom smutny, chociaż upieram się, że wcale nie, mylą się, a jednak kiedy spojrzę w lustro, okazuje się, że wcale się nie mylą, mam smutną minę, nie ulega kwestii, że moja twarz jest smutna. Doszedłem do wniosku (uśmiechnął się do niej, bo była czwarta, dzień dobiegał końca, a ona była bardzo ładną dziewczyną, dziwne, jak robiła się coraz ładniejsza), doszedłem do wniosku, że w sumie mają rację, jestem smutny, smutniejszy, niż mi się wydaje.

Zaczął opowieść.

Mieszkała w małym mieszkanku. Pamiętam, że jej sąsiadką była dosyć dziwna kobieta, wyglądała na gruźliczkę z Nowej Anglii. Na parterze mieszkała para eleganckich chłopaków, którzy występowali razem w telewizji, na kominku-atrapie mieli czarne świece, a na ścianach ryciny z muskularnymi strażnikami Pałacu Buckingham. I jeszcze pani O'Toole z psem.

Malutkie i umieszczone wysoko, jej okna wychodziły na wielki biurowiec i ledwo poruszyły się u niej zasłony, jakaś para lubieżnych oczu z nadzieją odrywała się od biurka, maszyny do pisania czy stołu w magazynie. Na noc zamykała okna i zaciągała zasłony, bo wyobrażała sobie, że jakiś przybłęda (w jej wyobrazeniach zawsze był Murzynem) opuści się z dachu na dosyć szeroki parapet (ona oczywiście będzie wtedy spała, będzie sama i wszystko odbędzie się bezszelestnie) i włamie się do salonu, w którym sypiała. Próbowałem ją uspokoić, że takie dokonanie byłoby dla włóczędzy prawie niemożliwe i że dookoła są ludzie. Zaszczekałby pies pani O'Toole. To stare, bezzębne stworzenie?, pytała. W takim razie dziewczyna z sąsiedniego mieszkania usłyszałaby jej krzyk. Ale z tą dziewczyną jest coś nie tak, mówiła: w ogóle nie wychodzi z domu. Są jeszcze ci chłopcy z dołu: Boże, wzdychała, kogo oni by mogli wystraszyć? Wtedy ją przekonywałem, że nie mieszka na pustkowiu, tylko przy ruchliwej ulicy, w huku ciężarówek i autobusów. Jest bezpieczna, o ile obecność ludzi daje poczucie bezpieczeństwa. Jest otoczona, o ile otoczenie uspokaja. Jest pod ochroną, o ile zawiani sąsiedzi, stacja

metra na rogu oraz postój, na którym zaspani taksówkarze czytają popołudniowe gazety, są jakąś ochroną.

Jej okropne przeżycia nie odbiegały od normy. Raz poszła do toalety w kinie i krzyknęła na widok twarzy, która groźnie wychyliła się znad krawędzi drzwi. I jeszcze kiedyś we własnym mieszkaniu. Usłyszała ciche i ostrożne kroki na korytarzu, uporczywie skrzypiące schody i niski świst oddechu. A potem pukanie. Drzwi miała zaryglowane i założony łańcuch (później, kiedy byliśmy pokłóceni, jej twarz, to pamiętam, też pojawiła się w ostrożnie uchylonych drzwiach). Stała tam, wyobrażałem sobie, w krótkim, białym, przybrudzonym frotowym szlafrocze, na dywaniku, zmuszała się, żeby zapytać głosem zapewne bliskim hysterii: kto tam? I wtedy (dziwne, jak niezmienna była ta fraza, jakby wryta w kamieniu) nieznany głos odpowiedział: mężczyzna, którego pani wezwała. I usłyszała, jak lekko naciska klamkę. Wówczas szybko wróciła do telefonu, który stał na stoliku obok wersalki, na której spała, i połączyła się z centralą. Poprosiła, żeby zadzwonili na policję, głos miała podniesiony i rozedrgany z przerażenia, mówiła na tyle głośno, że było słychać przez drzwi. Wtedy szarpanie klamki ustało i usłyszała kroki, teraz szybko zbiegające po schodach. Ale został jej obraz tego nieznajomego głosu, znikającego w tłumie zwyczajnie wyglądających ludzi, wchodzących albo wychodzących z metra, przystających po gazetę w kiosku na rogu. Może zmienił się w jedną z nabrzmiałych twarzy przy barze, w knajpie z grillem. Nieznany głos mocujący się z klamką pod jej drzwiami, które okazały się niezupełnie bezpieczne, nalegał: to ja, mężczyzna, którego pani wezwała.

Często myślała o przeprowadzce, o wstawieniu krat w oknach czy wzmocnieniu drzwi, ale w końcu postanowiła kupić, w sklepie poleconym jej przez lekarza, coś, co przypominało wieczne pióro, ale było pistoletem na gaz łzawiący; trzymała go też na nocnym stoliku, obok telefonu i psujących się w czarnej porcelanowej misie owoców,